

TROCĘ KOMEDIA, TROCĘ ROMANTYCZNA

Nie ma co się długo nad tym rozwodzić - powody bywają różne. Jak pisał klasyk, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób. W sztuce irlandzkiej pisarki Geraldine Aron mąż po prostu zostawia żonę dla młodszej. Jak bohaterka sobie z tym poradzi? Czy ostatecznie podpisze papiery rozwodowe? Czy mimo dojrzałego wieku znajdzie drugą drugą połowę? „Mój boski rozwód” można obejrzeć w Teatrze Małym w manufakturze. W postać Angeli w spektaklu Mariusza Pilawskiego wcieliła się Karolina Lutczyn.

Ironiczny tytuł sztuki w oryginale brzmi *My Brilliant Divorce*. Ale czy rozwód może być genialny albo boski? Tak się wydaje młodemu perkusiście, chłopakowi dorosłej już córki Angeli. Ona sama w jednej z pierwszych scen mówi o pożegnalnym liście od męża: Wiecie, co wtedy czułam? Ulgę. Czuła się wyzwolona - tak przynajmniej sama siebie przekonuje. Mąż poza tym, że niewierny, był też denerwujący, ale z czasem samotność jednak doskwiera. Próby poznania kogoś nowego to ciąg groteskowych niepowodzeń. Może i siekierka była mała i tępa, ale zamieniać ją na byle jaki kijek? Zostaje pies i telefony - do matki (woli oglądać „Milionerów”, córki (woli swojego perkusistę), przyjaciółki (radzi myśleć o dobrych stronach całej sytuacji), w końcu do telefonu zaufania (radzi zająć się czymś pożytecznym).

„Mój boski rozwód” jest jednak komedią - momentami czarną, momentami romantyczną, pełną trafnych obserwacji obyczajowych, błyskotliwych spostrzeżeń na temat międzyludzkich relacji i dialogów dowcipnie relacjonowanych (przedstawianych) przez bohaterkę. Żarty, choć czasem niewyszukane, jednak śmieszą - podawane przez patrzącą na całą sytuację ze sporą dozą autoironii bohaterkę, która budzi naszą sympatię. Wydaje się, że autorka sztuki też ją polubiła i obdarowała nieco konwencjonalnym, „romantycznym” happy endem. To także pocieszające dla nas widzów, bo przecież dobrego zakończenia oczekujemy nie tylko w życiu.

Sztuka ma już ponad 20 lat i w niektórych szczegółach trochę się zestarzała (kto dziś przegląda rubryki towarzyskie w gazetach - chyba tylko historycy prasy), ale tekst musi mieć w sobie coś uniwersalnego, skoro wciąż jest grany także na polskich scenach (spektakl w Teatrze Małym to druga łódzka inscenizacja). Akceptacja siebie, otwartość, pogoda ducha - tego możemy się uczyć wspólnie z bohaterką, choć przekaz daleki jest od dydaktyzmu. „Najgorsze w życiu kobiety jest pierwszych pięćdziesiąt lat” - przekorny optymizm tego stwierdzenia otwiera nowe perspektywy. Ale sztuka, a co za tym idzie spektakl, to także galeria sportretowanych kilkoma kreskami postaci. Mimo formy monodramu poznajemy całkiem sporo osób z otoczenia Angeli, których słowa i gesty główna bohaterka naśladuje, opowiadając nam swoją historię. To dla występującej aktorki okazja do pokazania wszechstronnych możliwości, a dla nas - do przejrzenia się w lustrze przechadzającym się po... pokoju samotnej kobiety. Karolina Lutczyn udanie parodiuje sposób mówienia matki, córki, a nawet chińskiej asystentki lekarza swojej postaci (obcokrajowiec mówiący po polsku to pewny numer w każdym kabarecie), ale też zgorzkniałego prawnika od rozwodów czy żalostnego donzuana z towarzyskiego ogłoszenia (mówią trochę zbyt podobnie). Sama bohaterka często zmienia nastrój i nastawienie do świata, co jest dodatkową trudnością w konsekwentnym budowaniu postaci. Karolinie Lutczyn udaje się nas przekonać - wierzymy jej Angeli, najbardziej w smutnych, nostalgicznych scenach, takich jak opowieść o śmierci matki czy przejmująca relacja o podglądaniu przez okno obchodzącej wspólnie święta rodziny. Mniej przekonują mnie relacje z (nieudanych) randek - nie zawsze byłam w stanie odczytać intencje realizatorów. Czy miało być zmysłowo, czy tylko groteskowo?

Przedstawienie wyreżyserowane przez Mariusza Pilawskiego toczy się wartko, zachowując dramaturgię i przez cały czas skupiając uwagę widza. To chyba jeden z najkrótszych, a zatem najszybszych „Boskich rozwodów” – trwa mniej więcej godzinę i piętnaście minut. Ustawiony w rogu sceny parawan pozwala aktorce zmieniać elementy garderoby, sygnalizujące charakter poszczególnych scen. Czasami niewiele to wnosi, np. kapelusz i okulary przeciwsłoneczne w scenie nieudanego wyjazdu na egzotyczne wakacje, ale za to wspaniale ograny jest inny rekwizyt – talerz z makaronem. Angela podjada, opowiadając nam o romansie męża, a widelec z nitkami spaghetti staje się prysznicem, pod którym kąpie się niewierna para. Bardzo dobrze wypada też pies, sympatyczny basset. Nie, nie jest żywy, ale aktorka rozmawia z nim i głaszcze, jakby był prawdziwy. A on czasem kiwa głową. A może mi się tylko zdawało.

Spektakl godny polecenia. Dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć kobiety, także dla kobiet, które chcą zrozumieć siebie.

Piotr Grobliński

Geraldine Aron „Mój boski rozwód” – monodram w wykonaniu Karoliny Lutczyn, tłumaczenie – Anna Wołek i Krystyna Podleska, reżyseria – Mariusz Pilawski, scenografia – Krzysztof Andrysiak, kostiumy – Marzena Pilawska, premiera 15 września 2023.

Najbliższy spektakl - 29 października o 16.15

Foto – Dominika Hudziec, materiały prasowe teatru